

Edward Kawenczyński

Bolesnym sprawom zdecydowana łama

W codziennym życiu zakładów pracy rodzą się nieraz konflikty między kierownictwem, administracją a pracownikami. I to jest nieuniknione. Gorzej, że tem tych konfliktów są fakty bezduszości, bezprawia wyrządzającego krzywdę pracującym. Toteż nie trzeba uzasadniać, że dziedzina obrony interesów pracowniczych jest dla związków zawodowych równie ważna, jak wykonywanie podstawowej funkcji współgospodarstwa w tworzeniu naszego wspólnego dochodu narodowego.

Krzywdy — bolesne sprawy dnia powszedniego — rodzą się przede wszystkim w fabryce, w zakładzie pracy. A więc najbliższym obrońcą załogi jest (a na pewno powinna być) rada zakładowa. Obróńcą, który potrafi nie tylko zabiegać o naprawienie wyrządzonej już krzywdy, ale przede wszystkim — nie dopuścić do jej powstania. I to jest najistotniejsze. Wszak z reguły nie da się całkowicie naprawić wyrządzonego zła, bowiem liczą się i szkody moralne. A ktoś zwrócić człowiekowi zdrowie, które stracił w czasie długich nerwowych wyczerpujących interwencji, utarceczek, wyczekiwań, nieprzespanych nocy?

Okres, który upłynął od IV Kongresu Związków Zawodowych (1958 r.) charakteryzuje się dalszym umocnieniem praworządności w zakładach pracy. Jest to bezspornie rezultat aktywniejszej działalności zakładowych komisji rozjemczych. W latach 1959—1961 rozpatrzyły one łącznie 91 800 sporów. W roku ubiegłym wydały aż 67,8 proc. orzeczeń na korzyść pracowników.

O wartości i uznaniu pracy zakładowych komisji rozjemczych wśród załóg świadczy fakt, że w ub. roku tylko w 1130 przypadkach zażądano skierowania sprawy do sądu, a od orzeczeń komisji wpłynęło zaledwie 2515 odwołań. Znak to, że te najbliższe załozodze „sądy” zdobyły sobie zaufanie.

Nie znają przepisów

A jednak, co wyraźnie stwierdza się w sprawozdaniu na V Kongres Związków Zawodowych, liczba skarg i zażaleń napływająca z zakładów pracy do wyższych instancji związkowych utrzymuje się jeszcze na zbyt wysokim poziomie. Tysiące skarg kierują zainteresowani również do wyższych instancji partyjnych, do najwyższych organów administracji państwowej i do redakcji czasopism.

Jest to oczywisty znak, że wiele rad zakładowych nie spełnia należycie trudnej niewątpliwie funkcji obrony interesów pracowniczych. Zdarzają się przypadki, że rady zakładowe nie chcą się po prostu narażać administracji, lub — co gorsza — same przyczyniają się do popierania zła. Ale na szczęście te ostatnie fakty są nieliczne.

Indolencja rad zakładowych i ich bezzadność w dziedzinie obrony interesów pracowniczych najczęściej wynika z nieznajomości przepisów prawnych, z nieumiejętności ich interpretowania. Jest to jednocześnie sygnałem, że istniejące przepisy nie ułatwiają życia radom zakładowym. Trzeba być tegim pracownikiem, aby odnaleźć potrzebne postanowienia, które są rozrzucone w wielu aktach prawnych. A poza tym, akta te redagowane są zbyt zawiłe, aby mógł korzystać z nich bez trudu zwłaszcza mniej doświadczony i wyszkolony aktywny rad zakładowych.

Dotyczy to przede wszystkim przepisów o zwolnieniach z pracy, a w szczególności zwolnień z zachowaniem ustawowego okresu wypowiedzenia i przepisów mówiących o placach. Dziś trzeba być biegłym finansistą, aby zorientować się w ustaleniach zaszeregowania, obliczeniu wynagrodzenia itp. Nie też dziwnego, że co najbardziej zapobiegliwi aktywni rad zakładowych skrzet-

nie zbierają wycinki prasowe porad prawnych zamieszczanych w codziennej prasie. W nich szukają odpowiedzi na różne trudniejsze do rozgrzyżenia sprawy.

Wiecej odwagi

V Kongres Związków Zawodowych niewątpliwie ze szczególną uwagą rozważył m. in. sprawy wiążące się z czołową funkcją działalności związkowej w obronie interesów pracowniczych. Należy przypuszczać, że po Kongresie zostaną podjęte starania, aby podstawowym ogniwem związkowym w zakładzie pracy — radom zakładowym — stworzyć w przyszłości najlepsze warunki do skuteczniejszego przeciwstawiania się bolesnym sprawom. I to tak, aby już w zarodku nie dopuścić do powstania krzywd.

Trzeba jednak podkreślić, że uporządkowanie gąszczy przepisów prawnych i szkolenie z zakresu ustawodawstwa pracy przyniesie oczekiwane korzyści tylko wówczas, jeżeli aktywny związkowy rad zakładowych potrafi odważnie występować w obronie interesów pracowniczych. W każdej dziedzinie. Nie tylko wtedy, gdy chodzi o sprawy cięższego kalibru: płac, zwolnień, urlopów, godzin nadliczbowych, przesunięć służbowych, ale również sprawy przydziału wczasów, mieszkań, premii itp.

Mądry, doświadczony aktywny związkowy w zakładzie pracy z jednakową energią przeciwstawia się powstawaniu małych i wielkich krzywd. W takich zakładach stosunki między kierownictwem, administracją i pracownikami układają się harmonijnie, a wszelkie spory załatwiane są sprawiedliwie, bez uciekania się do interwencji wyższych instancji.

O taką właśnie chodzi atmosferę.

Bogusław Kogut

polskie nagrobki

Władysław Broniewski

*Czas żyje w krajobrazach. Kiedy są bardzo młode
jest w nich dziecięca krzykliwość i rumiana senność
Podrastając
podnoszą wzwyż swą dynamiczną urodę*

*A kiedy starość chyli je ku milczeniu
przychodzą wojny i krajobrazy mrą
śmiercią która na ludzkich twarzach
zostawia piętno groźne*

*Który tak często że zawsze siedzi przeciwko wiatrom
wymosił krajobrazy z ciemności pobojozisk
oddawał im oczu swoich światło*

*Który znał rzek prawdziwą prawdę
werność brzoź i upór dębów
równieśnik mojej matki
umarłej na wojnę
chorobę krajobrazów Poeta śpiewający*

*I oto wstała cisza. I zewsząd jeżdżcy w lampasach
paradni i barokowi już komponują defiladę
Lecz to był piechur
wędrowiec borem-lasem
który powrócił oto
do swego krajobrazu czerwioną balladą*

(lut — kwiecień)

Prof. dr inż. Zbigniew Jasicki

Rektor Politechniki Poznańskiej

Współpracujmy...

Toczaca się od 12 sierpnia br. na łamach „Głosu Tygodnia” dyskusja na temat współpracy między poszczególnymi wyższymi uczelniami i instytutami badawczymi Poznania ujawnia nie tylko poważne korzyści, jakich przysporzyłyby ona samemu uczelniom i regionowi wielkopolskiemu, ale także powszechną dążność do takiej koordynacji. Naświetlono już wszęch stronnie pozytywne efekty, oczekiwane na odcinku kompleksowych badań naukowych, uzgodnienia problematyki wychowawczej, a nawet efekty gospodarcze.

Chciałbym się więc zająć nieco innymi aspektami dyskusowanego problemu.

Podkreślanie roli konferencji i zjazdów naukowych, jak również w ogóle kontaktów z naukowcami z innych środowisk krajowych i zagranicznych, dla rozwoju naszej kadry naukowej oraz atmosfery naukowej

ośrodka poznańskiego, byłoby chyba truizmem. Mimo to praktyczna realizacja tego rodzaju kontaktów pozostawia jeszcze dużo do życzenia. Mało jest u nas zjazdów i konferencji naukowych, a jeśli się one nawet odbywają, to często ich uczestnicy rekrutują się z samego tylko województwa poznańskiego lub regionów sąsiednich. Byłoby na pewno celowe zespolić wysiłki rektorów naszych uczelni oraz dyrektorów instytutów, by podejmować trud organizacyjny większej ilości takich imprez naukowych, aby dotychczasowi uczestnicy (z naszego regionu) mieli możliwość zetknięcia się z czołowymi naukowcami krajowymi i zagranicznymi, aby w ten sposób zaczerpnąć na drodze bardziej bezpośredniej informacji o aktualnych tendencjach w pracowniach badawczych całej Polski i całego świata.

Pierwsze kroki na tym odcinku zostały zrobione, Rektor UAM rozstał do pozostałych uczelni program

współpracy UAM z Uniwersytetem w Liège, chcąc przypuszczalnie wykorzystać pobyt swych gości dla rozwoju całego środowiska naukowego Poznania. Wykorzystajmy tę inicjatywę w jak najszerszym zakresie, to znaczy, nie bacząc nieraz na fakt, iż kierunek specjalizacyjny gości zagranicznego będzie dość odległy od zainteresowań danej uczelni, czy danego pracownika nauki. W czasie ostatniej Międzynarodowej Konferencji poświęconej badaniom drgań nieliniowych odbytej w Warszawie padła propozycja, by następną konferencję zorganizować za rok w Poznaniu. Podejmujemy ten trud organizacyjny, przygotowujemy jak największą liczbę referatów naukowych na ten zjazd, by godnie zaprezentować nasze środowisko, zaprosimy liczne grono naukowców krajowych i zagranicznych, oraz pracowników naukowych naszego śro-

Ciąg dalszy na str. 3

▲ SPRAWY POZNAŃSKIEJ NAUKI ▲ SPRAWY POZNAŃSKIEJ NAUKI ▲ SPRAWY POZNAŃSKIEJ NAUKI ▲ SPRAWY

Inż. Włodzimierz Kilanowski

dyrektor Instytutu Przemysłu Włókien Łykowych

Kto to ma robić?

O d dłuższego czasu podejmuje się dyskusję na temat konieczności koordynacji prac naukowo-badawczych. Powołano nawet specjalne organy, jak na przykład Komitet do spraw Techniki dla opracowania kierunków rozwoju nowej techniki i skoordynowania wysiłków licznych placówek badawczych. Rozwijająca się dyskusja na łamach „Głosu Wielkopolskiego” potwierdza w zasadzie konieczność współdziałania placówek badawczych regionu. Trudno nie zgodzić się z postulatami dyskusantów i autora artykułu „Koordynacja? — Tak!”, ale wypada zwrócić uwagę na trudności, jakie występują z chwilą praktycznego zastosowania stawianych postulatów.

Na wstępie trzeba zaznaczyć, że przedmiotem zainteresowania regionalnego organu koordynującego mogą być tylko te zagadnienia, które nie wynikają z dyrektyw centralnych organów zarządzania zawartych w odpowiednich Uchwałach Rady Ministrów i wytycznych PAN lub też Komitetu do spraw Techniki. Pod dyskusję można poddać te tematy, które figurują w planach placówek naukowych na skutek zgłoszeń z inicjatywy administracji przemysłowo-gospodarczej niższego szczebla zarządzania. Trzeba się również zastanowić, jaką egzekutywę może mieć komisja koordynująca, skoro istniejący system organizacji nie zakłada takich możliwości? Czy można zakładać działania różnych ośrodków dyspozycyjnych wydających własne dyrektywy? Powołanie regionalnego koordynatora stworzy sytuację dosyć kłopotliwą

dla wykonawców, którzy będą musieli dokonywać wyboru pomiędzy dyrektywami płynącymi z dwóch różnych źródeł, na przykład Ministerstwa czy też Komisji Wojewódzkiej. Przedstawione w telegraficznym skrócie wątpliwości należałoby przed podjęciem decyzji rozstrzygnąć.

Dalszym problemem wymagającym rozwiązania — to sama technika koordynacji planów. Nie będzie przesady, jeżeli podam, że na terenie województwa poznańskiego prowadzi się równocześnie kilkaset, a nawet kilka tysięcy tematów roboczych w kilkudziesięciu placówkach badawczych, reprezentujących różnorakie dyscypliny naukowe. Zakłady naukowe i laboratoria podlegają kilku różnym resortom. Samo dokonanie przeglądu planów prac naukowo-badawczych jest pracochłonne i może być dokonane przez liczne grono specjalistów. Pamiętajmy, że jednostki powołane dla koordynacji planów dysponują dużym aparatem wykonawczym zatrudnionym nieraz przez okrągły rok. Sam przegląd planów nie wystarczy, gdyż często się zdarza, że sam tytuł pracy badawczej nie zawsze pozwala na zorientowanie się o zamierzeniach wykonawcy. Trzeba w tych wypadkach sięgnąć do programu roboczego — to znaczy do metodyki.

Przegląd planów i orientacja w programach działania, to dopiero wstępna część zamierzeń koordynacyjnych. Trzeba opracować wnioski i propozycje i przekonać o ich słuszności zespół wykonawców. Kto ma tego dokonać? Jaki sztab specjalistów jest potrzebny, ile czasu mają ci specjaliści ze swych normalnych

zajęć zawodowych i społecznych wykroć, aby móc podjąć się wykonania tak ambitnych zamierzeń? Obawiam się, że w istniejących warunkach jest to niemożliwe. Czy wobec przedstawionej sytuacji zabezpieczenie interesu województwa w zakresie prowadzenia badań naukowych jest niemożliwe do zrealizowania?

Chcąc zapewnić udział placówek naukowych poznańskich w pracach przydatnych dla regionu, należy wykorzystać istniejące możliwości organizacyjne. Instytucją powołaną do terenowej koordynacji planów jest WKPG. Byłoby wysoce pożądanym, aby Wojewódzką Komisję Planowania wyposażać w pracownię planów, naukowo-badawczych, która zajęłaby się (korzystając z konsultacji powołanej Rady Naukowej) opracowywaniem programu studiów koniecznych dla regionu. Zestawienie zapotrzebowanie stanowiłoby plan prac naukowo-badawczych, podzielony na zagadnienia i tematy roczne, które należałoby zgłosić (przekazać do wykonania zainteresowanym katedrom wyższych uczelni i instytutów naukowych). WKPG działałaby na tych samych zasadach, jak inne jednostki zgłaszające swoje postulaty pod adresem placówek badawczych. Od chwili przyjęcia do wykonania postulatów dalszy tok postępowania byłby analogiczny, jak w przypadku wszystkich prac prowadzonych w zakładach naukowych. Prace zakończone winny być przekazane w formie dokumentacji zgłaszającemu. Zagadnienia opracowywane w kilku instytucjach miałyby swego koordynatora w placówce, której udział w opracowaniu jest największy.

Drugim problemem przedstawionym w artykule — to sprawa rozbudowy zaplecza badawczego. Zagadnienie to wydaje się prostsze do rozwiązania, wymaga jednak rewizji szeregu aktów normatywnych dotyczących inwestycji. W istniejącej sytuacji wydaje się niemożliwe, aby instytut lub wyższa uczelnia mogły wstawić do planu budowy laboratorium, mogące być wykorzystane przez inwestora w kilku procentach z uzasadnieniem, że zakładana rezerwa „w mocy przerobowej” będzie wykorzystywana przez inne instytucje. Tymczasem życie postuluje powołanie jakiegoś międzyuczelnianego lub międzyinstytutowego ośrodka usług badawczych. Do najpilniejszych potrzeb zaliczyć należałoby budowę drukarni-powielarni, przeznaczonych na użytk uczelni i instytutów. Wiadomo powszechnie, że cykl wydawniczy trwa nieraz ponad dwa lata. W tym czasie wyniki badań dezaktualizują się i trafiają do wykonawcy z dużym opóźnieniem. Jednym z dalszych postulatów — to uruchomienie warsztatów remontów dla aparatury badawczej. Uruchomienie pracowni usługowych, licznych maszyn elektronowych, badań mikroskopowych o najwyższych powiększeniach, pracowni roentgenologicznych, laboratoriów filmowych powinno stanowić podstawowe wyposażenie ośrodka usług badawczych. Sfinansowanie takiej inwestycji mogłoby nastąpić na podobnych zasadach, jak partycypacja przemysłu w inwestycjach komunalnych.

Leon Kruczkowski

*Czas nabiera niekiedy potysku kamienia
lecz owocuje w działaniu ludzi
i ta jest jego nad marmurami przewaga.
Czas życia jest ruchem myśli która ciągle zmienia
miejsce człowieka na ziemi
Na tym polega odwaga*

*Który patrzy daleko i nie zawracał z drogi
kiedy mgliła się krwawa. Który był jak gleba
żywny i sprawiedliwy
nienawidzący odlogów
jałowych myśli i słów
Rzecznik prawdomówny do ostatniej frazy
Na tym mądrość polega*

*Teraz już tylko nieruchomieją obrazy
w słupy milowe których wystarczy kilka*

*On nie obliczał na wieczność swoich śladów
nie mówił w puste
dalego nie będzie milczał*

(sierpień)

anno 1962

Zofia Andrzejewska

Michał Łuczak

Radca

Siedział zwykle w samym kącie baru, na wysokim stołku obitym czerwonym plastikiem. Tęcza kładł na stalowym podnóżku, a swój szary „eden” wieszal na gwoździu, zakrywając przy tym pięknie wykaligrafowany napis „klient — nasz pan”. W barze było tłoczno i gwarno, ale barman — pan Stanisław, miał zawsze czas dla stałych gości. Przeczekal tylko aż kapeluszy przysłoni napis i zbliżał się z przyjemnym uśmiechem.

— Pan radca co dziś pozwolił

Radca namyślał się chwilę i wolno z namaszczeniem cędził:

— Angielską gorzką i ser limburski

Barman kłaniał się na znak, że przyjmuje zamówienie i już nalewał złotobrazowy likier w kieliszek na wysokiej nóżce.

Inni goście pili w zwyczajnych szklankach — mniejszych lub większych — zwyczajną wódkę. Ale radca był wyjątkowym gościem i pan Stanisław wiedział, jak go obsłużyć. Kiedy przed dwoma laty radca wsiadł pierwszy raz do „Baru pod Satyrem”, pan Stanisław od razu wyczuł w nim lepsze go gościa. Sposrządził z jakim niesmakiem spojrzał na głośno, zbyt głośno, mówiące towarzystwo, jak wybrał stołek na samym końcu baru pod ścianą i z jaką godnością powiesił swój szary „eden” na gwoździu przytrzymującym napis „Klient nasz pan”.

— Wódeczkę dla pana radcy! — zapisał wtedy.

Radca spojrzal na niego przeciągle i wycedził:

— Hm, jakiś dobry likier. Czy ma pan jednak przyzwolone szkło. Nie uznaję picia w literalkach. To mi przypomina karczmę.

— Już się robi, panie radco. A na zakaskę co podać!

W tym miejscu pan Stanisław stwierdził z satysfakcją, że się nie omylił.

— Może być ser limburski.

Ser limburski. Jeszcze żaden z klientów pana Stanisława nie życzył sobie sera limburskiego. Pan Stanisław był w kłopotcie. „Skąd ja wytrąsne ser limburski” — myślał. Ale od czego zawodowy spryt. Pociął zwyczajny ser tyłżycy w wąskie paski, obtoczył papryką, dodał gałązkę pietruszki i podał.

Od tego czasu radca został stałym gościem „Baru pod Satyrem”.

Przychodził co drugi dzień. Regularnie jak w zegarku. Nie pił dużo. Dwa, trzy kieliszki. Ale pan Stanisław nie życzył sobie nawet, aby radca pił dużo. To by pomniejszało promieniującą od niego godność i sprawiło zawód barmanowi. „Bar pod Satyrem” miał wielu stałych klientów. Był wśród nich stolarz z warsztatu naprzeciwko, wozak uwalany zawsze węgiem, był nawet kierownik sklepu MHD. Żaden jednak nie cieszył się takimi względami pana Stanisława jak radca. Daleko im wszystkim było do wyniosłej postawy radcy. Pan Stanisław był dumny, że się na nim od razu poznał.

Radca cieszył się zresztą wielką atencją nie tylko pana Stanisława. Kiedy siedział zamysłony, sącząc

Dokończenie na str. 3

Szkoła obywatelstwa

W jednym z wielkopolskich miasteczek, członkowie Prezydium MRN, nie obawiając się, że ich autorytet dozna uszczerbku — często brali do ręki pędzle i puszki z farbą. Potem szli do parku. Tam toczyło się współzawodnictwo w malowaniu ławek. Łatwo było stwierdzić, kto przodował, bo każdy „zawodnik” miał swój kolor. Np. sekretarz używał tylko zielonej farby, a przewodniczący gustował w błękitach.

Mieszkańcy tego miasteczka początkowo byli tylko kibicami. Z czasem jednak „zarazili się” bakcyliem społecznej roboty i tzw. czynu posypali się jak z rogu obfitości...

Przesadą byłoby twierdzić, że bracia Polacy jak jeden mąż angażują się w prace społecznych. Aż tak dobrze jeszcze nie jest ale...

Potrzeba inspiracji

Jesteśmy dość skłonni do narzekania i pretensji — słowem mal-kontenctwa, ale nie bardzo lubimy sami zabierać się do usuwania bolączek. Np. brak placu zabaw dla dzieci zwykło się u nas kwitować zwrotem „dlaczego oni tego nie robią?”. Ta bierność nie jest łatwa do pokonania. By ją przezwyciężyć trzeba i przekonywać i dawać dobre wzory. Tak, jak wspomniani wyżej członkowie Prezydium.

Błędem byłoby składać cały ciężar odpowiedzialności za częstotliwość czynów społecznych na barki komitetów FJN, aczkolwiek właśnie one mają tutaj najwięcej do powiedzenia. Nie bez znaczenia jest tu także inspiracja prezydentów rad narodowych. Jakże są tego efekty przekonaliśmy się w pow. konińskim.

Panowała opinia, że koninianie nieśkaskawym okiem patrzą na czyny obywatelskie. W rzeczywistości okazało się że społeczeństwo konińskie nie jest ani mniej ani bardziej niechętnie jak gdzie indziej, ale jeżeli znajdzie się inspirator i organizator, drzemająca dotychczas leniwie inicjatywa — może znaleźć ujście. Kiedy bowiem Wydział Komunikacji Prezydium PRN zorganizował szereg spotkań z mieszkańcami wsi zainteresowanymi budową dróg, kiedy na tych zebraniach przedstawiono korzyści płynące ze społecznych czynów, kiedy stworzono warunki do realizacji podjętych zobowiązań (przygotowanie dokumentacji i sprowadzenie materiału) — ludność 12 gromad przystąpiła do drogowego budownictwa. I oto w powiecie, w którym do 1960 roku (wtedy nastąpiła właśnie zmiana kierownika Wydziału Komunikacji) czyny społeczne były zjawiskiem stosunkowo rzadkim.

Konkretność

I sekretarz KW PZPR w Poznaniu — Jan Szydłak, przemawiając na ostatnim plenarnym posiedzeniu Woj. Komitetu FJN podkreślił, że programy poszczególnych komitetów muszą być konkretne i realne. Warunek nader istotny. Mobilizowanie mieszkańców wioski do budowy domu kultury, którego koszt przekracza 10 mln. złotych, rzecz jasna przyniesie więcej szkody, niż pożytku. Inspirować trzeba więc z głową. Budujmy to co po-

trzebne i to co potrafimy. Inna polityka w tym zakresie może doprowadzić do wystąpienia groźnego zjawiska — zniechęcenia. Były już takie wypadki, że z wielkim szumem rozpoczęto budowę jakiegoś wielkiego obiektu, a potem okazało się, że zamierzenia są nie-realne i wykonana praca — bezużyteczna. Tych, którzy włożyli w to dzieło swój wysiłek niełatwo będzie teraz do czegośkolwiek zmobilizować.

Na szczęście ogromna większość komitetów planuje realnie. Dlatego też, chociaż czyny społeczne nie zdobyły sobie jeszcze prawa powszechnego obywatelstwa, osiągnięcia są niemałe. W 1961 r. wartość prac wykonanych w Wielkopolsce czynnem społecznym wyniosła 140 mln. zł. I tak m. in. wybudowano drogi, których wartość przekracza 92 mln.; urządzenia gospodarki komunalnej ocenia się na 15 mln. zł. a prace z zakresu ochrony przeciwpożarowej na 9 mln. zł. Plan obecnego roku jest jeszcze bardziej imponujący. Wartość czynów zadeklarowanych wynosi blisko 170 mln. zł. Zainteresowanie społecznych budowniczych znów skupia się przede wszystkim na drogach, gospodarce komunalnej i ochronie przeciwpożarowej.

Często słyszy się narzekanie na temat pewnej jednostronności czynów. Nie da się zaprzeczyć, że społeczna inicjatywa najczęściej znajduje ujście w budownictwie drogowym. Jednakże trzeba pamiętać, że potrzeby w tej dziedzinie nie są ogromne a nadto dobra droga to przecież pierwszy, podstawowy warunek wzrostu poziomu cywilizacji. Jak np. stosować traktory i maszyny rolnicze, gdy zamiast dróg są wertepy i bajory?

Wszechstronność

Mimo wszystko pewną jednostronność istnieje. Są problemy, które stosunkowo łatwo dałoby się rozwiązać społecznym wysiłkiem, ale... Na przykład sprawy z zakresu urządzeń socjalnych, a częściowo komunalnych i kulturalnych nie cieszą się popularnością wśród społeczników. Rzadko więc słyszy się o wybudowaniu w czynnie społecznym kąpieliska letniego, łaźni czy czytelnicy. A przecież potrzeby w tym zakresie są duże i oczywiste.

Ta jednostronność zostanie — miejmy nadzieję — przełamana.

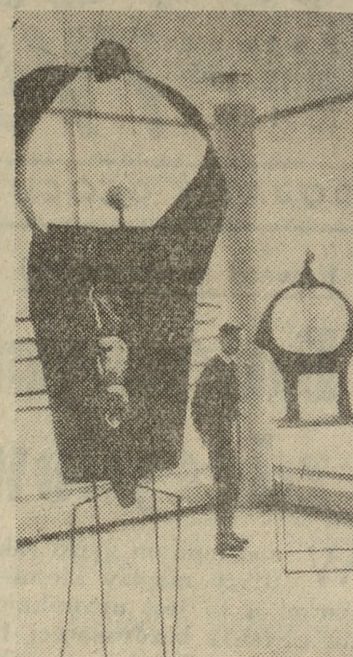
Z łeki

Ewy Pruskiej

Zółta

(tuszy)

Ekspozycja



Prace Józefa Kaliszana. Z lewej Prometeusz, z prawej — forma parkowa (beton - szkło).

Fot. — K. Przychodźki

Z zapisków zrędy

... że tak powiem

Z racji profesji bywa się na naradach. Człowieka obnażającego z tego typu imprezami nie dziwi, gdy część słuchaczy czyta ukradkiem prasę, rysuje esy-floresy, robi ze spinaczów zginy, układa z zapałek wymyślne figury lub rozszyfrowuje tajniki krzyżówek. Są to niemal usankcjonowane tradycją formy zwalczania senności, która nieprzepracie ogarnia ludzi, obecnych na naradzie jedynie ciałem.

Formy te jednak mają to do siebie, iż ludzie taktowni zwykli je stosować tylko wówczas, gdy uda im się zawiadnąć miejscem usytuowanym odpowiednio daleko od referującego. Bawiem nawet starzy wyjadacze, co to starli kurze z krzesel niemal wszystkich renomowanych sal konferencyjnych — nie wymyśliłi dotychczas skutecznych form walki z nudą, gdy człowiekowi przypadnie uplasować się vis a vis gładzącego. A ja — znalazłem.

Trudno: jak się siedzi na ekspozycjach, to trzeba zająć się czymś, co nie wymaga większego intelektualnego wysiłku. Na przykład można liczyć. Nie, nie od 1 do miliona, bo po pierwsze przy takim liczeniu szczególnie szybko Morfeusz porwie nas w swe ramiona, a po drugie nieraz i tego miliona nie starczyłoby, gdy trafimy na takiego, co kocha mówić; należy liczyć zbędne słowa, bądź całe zwroty, wypowiedziane niepotrzebnie z racji na przykład ich powtarzania. Można ewentualnie odnotowywać co cenniejsze wtręty. Tym sposobem sprawiamy wrażenie śledzącego pilnie obrady, a zarazem gromadzimy materiał do jednego w swoim rodzaju leksykonu gładziarstwa.

To zamilowanie do liczenia, albo — w przypadku pogłębiania opisywanej metody — do analizy formy stylizacji wypowiedzi, zaszczerpił mi nieświadomie pewien ksiądz — katecheta. Ow poczytnie dla dodania powagi twierdzeniom — rzucanym między maluczkich — posiłkował się z lubością zwrotem „ciągle i ustawicznie”. Zwykle bywało tak, że gdy cisnął w nas swym gromkim zawołaniem po raz dwunasty — w klasie odzywały się stłumione parskania, przy osiągnięciu zaś przez księdza progu dwudziestki — bractwo poczyniło dawać jawny upust wesołości.

Do dziś potrafię ustyszeć w zakamarkach pamięci owe „ciągle i ustawicznie”. Mój Boże, właściwie było to powiedzonko nietuzinkowe, a nawet na swój sposób oryginalne. Dzisiaj się takich raczej nie słyszy. Dzisiaj leje się z trybun w salach konferencyjnych mowa gesty przetykana tak

mało wyszukanyymi zwrotami, jak „można powiedzieć”, „w zasadzie”, „powiedzmy”, „nieprawdaz, co”, „proszę was”, czy „że tak powiem”.

Podczas pewnej odprawy w Stupcy, ustaliłem następujące osiągnięcia na niwie tzw. blubrania: w ciągu pięciu minut referujący 50 do 60 razy wypowiedział swe ulubione powiedzonko — wtręt; w ciągu dziesięciu minut ilość ta się podwoiła; w ciągu godzinowego wystąpienia wypowiedział więc 720 absolutnie zbędnych wyrazów (abstrahując od tego, ile w ogóle było zbędnych zdań w tak długiej oracji). Ponieważ obok ukochanego „nie prawdaz”, dodał jeszcze w ciągu godziny 120 „co” — podniósł tym samym wynik do 840 niepotrzebnych słów w ciągu sześćdziesięciu minut. Licząc na wypowiedzenie każdego z nich po sekundzie, doliczymy się bitych czterem minut w godzinie. 14 minut kompletnego gładzenia — na 60 minut wystąpienia. 14 minut skradzionego ludziom czasu.

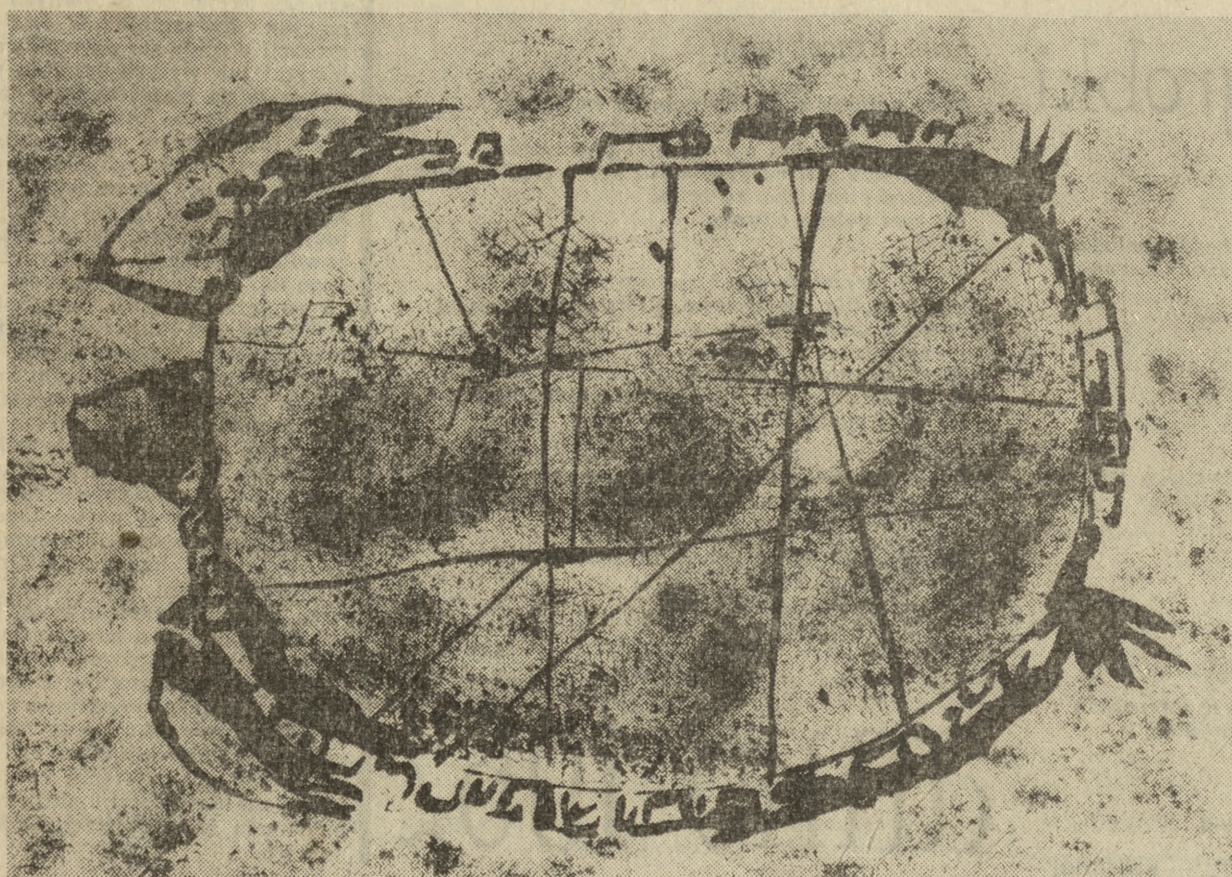
Przerazający rachunek. Jedną czwartą wystąpienia stanowiły przemówieniowe chwasty. Rachunek ten w pełni zweryfikowałem podczas niejednej narady w Poznaniu: ten sam wynik, 840 wtrętów w ciągu godziny.

Kiedys (w lutym br.) Tadeusz Krzyżewski na łamach „Prawa i Życia” w artykule „ABC przemawiania publicznego” podjął temat czasu trwania wystąpienia, wymowy gestów i postawy (w sensie fizycznym) mówcy; inni wielokrotnie zwracali uwagę na tzw. wodolejstwo, czy ubogi zasób słów — grzechy powszednie zebraniowych trybunów. Natomiast neglizowanie nieporadności wystawiania się jakoś nie jest w zwyczaju. Dlaczego?

W naszym kraju, gdzie ludzie uczą się tańców, jazdy na rowerze, gdzie kaligrafia wróciła do łask — nie uczy się, o zgrozo, poprawnego wystawiania. Co prawda urządzane bywają konkursy krasomówcze i recytatorskie, ale charakter ich jest specyficzny. Nam potrzeba po prostu tego, co już w starożytnym Rzymie tak bardzo było w cenie: umiejętności jasnego, zwięzłego formułowania myśli, przy użyciu sporego zasobu słów. Ale tego trzeba się uczyć — jak śpiewu, gry na pianinie, czy rysunku.

Gdzie? Nie wiem. Chyba nie na uniwersytecie. Może w ośrodkach metodycznych dla nauczycieli, może przez NOT, może w Wojewódzkim Ośrodku Propagandy Partyjnej, albo we wszystkich tych placówkach równocześnie. Ja tylko zasygnalizowałem problem, że tak powiem. Och, pardon!

PIOTR ŻYCKI



Współpracujemy...

Dokończenie ze str. 1

domowska, jak również pracowników przemysłowych naszego regionu. Korzyści może nie będą się wyrażały w złotychkach, ale ktoś dziś jest w stanie odgadnąć ile twórczych myśli i idei zrodzi się w umysłach naszych pracowników naukowych i przemysłowych w czasie słuchania referatów i żywej dyskusji? A pomyśl, że po zrealizowaniu to na pewno krocie złotych.

Jest jeszcze dużo innych możliwości zorganizowania zjazdów naukowych w Poznaniu już w następnym roku kalendarzowym. A może rzucić tu hasło: w każdym miesiącu zjazd naukowy! A więc pole na koordynację poczynić, na skupienie wysiłków naukowców kilku uczelni, by zjazdy wypadły jak najokazalej (na przykład w zjeździe drgań nienieliniowych zainteresowani być mogą pracownicy UAM, Politechniki, Akademii Medycznej i Wyższej Szkoły Muzycznej). A teraz jeszcze coś dla młodzieży. Wiemy wszyscy, jak bardzo interesuje się ona nowoczesną literaturą, sztuką, czy muzyką. To jest nie tylko sprawa tańczenia twista! Sprawa jest o wiele głębsza, to jakaś przemożna wola trzymania ręki na pulsie wszystkiego, co nowe rozwijające się, co zapatrzone w przyszłość! Młodzież Politechniki pragnie nowoczesnej muzyki, a nowoczesne sztuki plastyczne są jej wręcz potrzebne do konstruowania nowoczesnej obudowy, projektowania na zajęciach — i później w przemyśle — aparatów i urządzeń. Czyżby młodzież Wyższej Szkoły Muzycznej nie mogła dawać koncertów nowoczesnej muzyki młodzieży całego środowiska, a młodzież Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych organizować wystaw swych projektów, a wreszcie młodzież Politechniki służyć referatami i pomocą w udostępnianiu wyposażenia technicznego kółkom naukowym Wyższej Szkoły Muzycznej, Uniwersytetu, Akademii Medycznej, czy Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych? Korzyści odnieśli by wszyscy.

Ale zapytajmy się my sami — naukowcy — czy przypadkowo sprawa ta nie miałaby i dla nas jakiegos poważniejszego znaczenia? Wszak pamiętać trzeba, że Politechnika Śląska w Gliwicach cierpi z powodu braku uniwersytetu w swoim sąsiedztwie, a Uniwersytet Toruński też boleśnie odczuwa swe osamotnienie. A my mamy szeroki wachlarz różnych uczelni. A więc i tu pojawia się konieczność spokojnego zastanowienia się, skoordynowanego planu działania, a korzyści są niewątpliwe.

Cóż nam zatem pozostało; odpowiedź podano już 200 lat temu: w słowach *chęć tylko widzimy w działaniu pojęcie*.

Prof. dr inż. ZBIGNIEW JASICKI

Miroslaw Sanigórski

Życie za zgodę

Projekt ustawy o zawodzie lekarza mówi: lekarz jest bezwzględnie zobowiązany do ratowania każdego zagrożonego życia!

Jasne! Zrozumiałe!

Projekt ustawy o zawodzie lekarza mówi: posiadany przez lekarza zasób wiedzy jest wyłącznie miarodajny w kwestii, jakie spośród dostępnych mu metod mogą zapewnić w konkretnym przypadku najlepsze wyniki, bądź też zmniejszyć cierpienia chorego. Jedynym ograniczeniem tego wyboru jest, aby lekarz obracał się w zakresie metod aktualnie uznanych przez medycynę.

Jasne! Zrozumiałe!

Ale nie przez wszystkich chorych. Nie przez wszystkich ich bliskich. I co najbardziej paradoksalne: nie jest do końca zrozumiałe również przez autorów projektu ustawy o zawodzie lekarza. Wydaje mi się, że nie starczyło im konsekwencji. Powiedzieli, zupełnie zresztą słusznie: ratuj jak możesz życie ludzkie! — ale to oczywiście, humanitarne zalecenie obwarowali tyłoma zastrzeżeniami, że praktycznie może to w pewnych wypadkach uniemożliwić lekarzom ratowanie zagrożonego życia.

Szczególnie na prowincji, gdzie zaufanie do lekarza nie jest równe zaufaniu do lekarza w mieście, gdzie działa znachor i gdzie bardzo się ceni każda, nawet chora, parę ręk do pracy. Ludzie tutaj nie kwapią się z leczeniem — nie tylko siebie, ale nawet bliskich, ale nawet dzieci. Zdarzają się wypadki odmawiania zgody na przeprowadzenie koniecznego dla ratowania życia zabiegu operacyjnego. Zdarzają się wypadki przedwczesnego, zbrodnictwa wypisywania chorych ze szpitali. Chory wędruje do brudnej chałupy. Leży się go ziółkami, zamówieniami, prześwietleniami w becze po piwie. (W tym miejscu podajemy, że projekt ustawy zastrzega wreszcie sankcje za nielegalne wykonywanie zawodu lekarza z dotychczasowych sześciu miesięcy aresztu i grzywny — do trzech lat więzienia i grzywny, a w wypadku recydywy nawet do pięciu lat więzienia i grzywny.)

Cóż mówią obecni projekt ustawy? Zgoda na przepis, który mówi, że jeżeli zabieg niesie z sobą ryzyko dla zdrowia chorego, albo grozi trwałym kalectwem, konieczna jest zgoda pacjenta, bądź jego rodziny.

Zgoda na przepis, który mówi, że w wypadku małoletniego, lub niezdolnego do kierowania swym postępowaniem zastosowanie zabiegu, niosącego z sobą ryzyko dla zdrowia chorego, albo groźbę trwałego

kalectwa zależy od osoby sprawującej opiekę nad chorym.

Nie ma natomiast zgody (z mojej strony i myślę, że ze strony zdrowego rozsądku) na przepis który mówi, że sprzeciwił pacjent, względnie jego ustawowego opiekuna i przedstawiciela co do przedsięwzięcia jakiegokolwiek czynności w zakresie zapobiegania, rozpoznawania, lub leczenia uniemożliwia przedsięwzięcie tej czynności. Tłumaczac to na język codzienności, praktyki: nieletni powinien być zoperowany. Dla własnego dobra. Dla uratowania mu życia. Lekarz jest jak najbardziej przekonany o potrzebie dokonania zabiegu, który nie niesie z sobą niebezpieczeństwa dla życia chorego. Opiekun (rodzice, rodzina chorego) mówi: nie! Mówią tak z różnych powodów. Ze strachu o życie chorego. (Mój ojciec miał być operowany. Trzeba było usunąć kataraktę. Zwiędział się o tym sąsiad, który niedługo przebywał w szpitalu. Nagadał ojcu tyle głupstw, że ten ani słyszeć nie chciał o operacji). Z uwagi na koszty pobytu w szpitalu (tak, tak — służę rozlicznymi faktami!). Z braku zaufania do konkretnego lekarza. Dlatego, że akurat pracy w polu jest do licha i trochę. Więc każda para rąk jest bardzo cenna, zwłaszcza gdy... nie nie kosztuje.

Lekarz musi się poddać. Musi zaniechać operacji. Musi wypisać chorego. Czyny to wbrew swojej woli, wbrew swojemu sumieniu, wbrew interesowi chorego. Nie raz i nie dwa pisaliśmy o absolutnej nieżyłowości tego przepisu. O jego oczywistym antyhumanitaryzmie. Zabierali głos w tej sprawie profesorowie Akademii Medycznych,

lekarze, działacze społeczni. Opinia była (i jest) jednoznaczna: o tym, czy powinien być dokonany zabieg — musi decydować tylko i wyłącznie lekarz! Oczywiście: nie wykluczałoby to rozmowy z opiekunami chorego, z samym chorym. Ale ostatnie słowo powinno należeć do fachowca, do lekarza. Niestety. Projekt ustawy o zawodzie lekarza odmawia lekarzowi tego ostatniego, tak brzemienne w skutki, słowa. Jest w tymże projekcie przepis, który może być uogólniony i dostosowany do obiektywnie istniejącej sytuacji. Może — po zmodyfikowaniu — uratować wiele istnień ludzkich, może zapobiec wielu tragediom.

Przepis ten mówi: jeżeli porozumienie się z osobą uprawnioną do wyrażenia zgody wywołuje zwłokę groźną dla zdrowia chorego, lekarz obowiązany jest zasięgnąć opinii jednego z kolegów, a w razie ostrego periculum in mora wolny jest nawet od tego obowiązku.

Sądę, że redakcja tego przepisu powinna mieć następujące brzmienie: jeżeli osoba uprawniona do wyrażenia zgody w imieniu chorego nie wyraża tej zgody, a przez to naraża chorego na śmierć, kalectwo, czy inne tragiczne skutki — lekarz obowiązany jest zasięgnąć opinii jednego (dwóch — liczba nie ma znaczenia) z kolegów, i w wypadku jednoznacznego sądu i opinii — powinien przystąpić do wykonania zabiegu.

Ze co? Ze ograniczenie wolności osobistej? To tylko ograniczenie ludzkiej głupoty, ciemnoty i zafania!

Co robić z krótkim metrażem?

Film dokumentalny odważnie porusza wszystkie sprawy dnia dzisiejszego. Twórcy polskich dokumentów pokazują w sposób zaangażowany współczesne problemy społeczne. I to jest chyba największą zasługą naszego dokumentu.

Równocześnie obrazy dokumentalne oddają nam wielką kulturę plastyczną. Oprócz filmu dokumentalnego, wyprodukowaliśmy dziesiątki dobrych filmów popularnonaukowych, obejmujących wszystkie dziedziny nauki, kultury, wychowania, przemysłu i całej gospodarki. Filmy te wyróżniają się starannością opracowania treści oraz formy (dzięki współpracy szeregu wybitnych

naukowców, pedagogów, ludzi sztuki).

Wiadomo powszechnie o osiągnięciach polskiego krótkiego metrażu, o dziesiątkach zdobytych nagród na festiwalach międzynarodowych, o jego popycie za granicą. Natomiast niewiele wiemy o jego wykorzystaniu dla celów poznawczych i społeczno-wychowawczych w naszym kraju. Wynika to z faktu niedoceniania przez szkoły, placówki wychowania pozaszkolnego, domy kultury i inne ośrodki pedagogiczne i społeczno-wychowawczej funkcji filmu. A przecież nie ma takiego składnika wychowania, którego realizacja nie wiązałaby się ściśle z wykorzystaniem filmu. Tymczasem dotychczasowe programy nauczania nie przewidują wpojenia w ucznia kultury filmowej. Co gorsza, film rzadko służy jako pomoc naukowa przy realizacji programu nauczania.

A przecież film dokumentalny i oświatowy można wykorzystać jako jeszcze jeden instrument wychowawczy i pedagogiczny i jednocześnie kształtować kulturę filmową młodzieży. Szkoły w naszym województwie dysponują ponad dwustu aparatami projekcyjnymi, sporo też aparatów znajduje się w innych placówkach. (Oprócz tego dysponujemy ponad 250 kinami). Jednakże nie wszystkie instytucje korzystają systematycznie z filmu oświatowego (chętniej z fabularnego), a niektóre w ogóle nie korzystają z filmu. Do rzadkości należy lekcja, w której jako pomoc naukową wykorzystuje się film. Wynika to chyba między innymi z ogólnego traktowania filmu, jako rozrywki. Ale po to, by wykorzystać film dla celów pedagogicznych, trzeba go znać. Ze znajomością nie jest najlepiej. Odczuwa się brak kadry, która by umiejętnie mogła korzystać z filmu. Wydaje mi się, że i szczupłe środki finansowe są jednym z powodów powolnego wkraczania filmu do placówek wychowania. A sprawa wydaje się być o tyle ważna, że reforma szkolnictwa oraz dążność do politelnizacji.

Sądę, że warto o tej sprawie pomyśleć, jako że nowy rok szkolny się rozpoczął (również sezon kulturalno-oświatowy 1962/1963). Ponadto Dni Filmu Polskiego były okazją do zapoznania się z dorobkiem krótkiego metrażu.

TADEUSZ WYSOCKI

Radca

Dokończenie ze str. 2

wolno swój likier — cichy rozmowy. Bywający baru starali się dostosować do spokojnego, wytłumionego sposobu bycia pana radcy. Czasem tylko wozak, podpiwszy sobie troszeczkę, podchodził do milczącego radcy i trącając go swą literatką wołał:

— No radcuniu, za pana zdrowie.

Radca widać wracał wtedy myślami do „Baru pod Satyrem”, bo uśmiechał się dobroliwie i chwytał delikatnie długą nóżkę swego kieliszka mówiąc:

— Za panów zdrowie. W pana ręce, panie Stanisławie.

Ale to rzadko bywało. Najczęściej radca w milczeniu smakował likier i błędził wzrokiem po ścianach. Najdłuższy oczy jego przykuwał stary oleodruk, przedstawiający tańczące nimfy i grającego im na flecie pijanego Satyra. Obraz był symbolem baru i stanowił po panu radcy drugie źródło dumy pana Stanisława. Wprawdzie niektórzy z bywalców pokpiwali z namiętnych dziewcząt i grającego im diabła, ale pan Stanisław potrafił wtedy długo tłumaczyć, że to nie diabeł lecz Satyr i że obraz jest bardzo piękny, bo podobny wisi nawet w muzeum w Paryżu. To, że radca wpaływał się godzinami w obraz, potwierdzało jeszcze raz opinię pana Stanisława dotyczącą jego osoby.

W tamten dzień, pamiętny dla wszystkich stałych bywalców „Baru pod Satyrem” wejście pana radcy powolią głębokie milczenie. Ale on nie zauważył znaczącego nastroju, bo swoim zwyczajem powiesił szary „eden” na gwoździu przykrzymującym pięknie wykaligrafowany napis „Klient nasz pan” i spojrzał w głąb baru. Wtedy dopiero na jego twarzy odbiło się lekkie zdziwienie, bo barman zajęty rozmową z jakimś klientem stał odwrócony plecami i ani zauważył wejścia swego najlepszego gościa.

Radca przeczekał chwilę, zmarszczył czoło i zawołał z wyrzutem w głosie:

— Panie Stanisławie!

Barman odwrócił się, podszedł wolno do wołającego i teraz dopiero radca zauważył, że to nie pan Stanisław.

— Słucham pana — powiedział.

Na twarzy radcy odbiło się zmieszanie.

— A gdzie pan Stanisław!

— Zmarł wczoraj na zawał serca — poinformował barman z powagą lecz bez żalu w głosie.

Radca popatrzył nieprzytomnie dookoła i wyjął:

— To... to niemożliwe.

Barman spojrzał z lekkim współczuciem na zmieszaną twarz klienta.

— Ludzka rzecz, proszę pana. Co panu podać, seikę czy pięćdziesiątkę!

Ale radca jakby nie słyszał pytania. Patrzył nieprzytomnie dookoła i wciąż powtarzał:

— To niemożliwe... to niemożliwe... Wtedy wozak podszedł do niego ze swą literatką:

— Napijmy się za jego skórę. Barman, daj pan tu kieliszek likieru dla pana radcy.

I wtedy stała się rzecz, której bywalczy „Baru pod Satyrem” nie zapomnieli długo. Radca trzasnął pięścią w bar, aż podskoczyły wszystkie kieliszki.

— Nie jestem żadnym radcą, idioci!

Potem zerwał nagłym ruchem swój szary „eden” z gwoździu przykrzymującego napis „Klient nasz pan” i wsadzając go z impetem na głowę dodał już spokojnie:

— Ale mógłbym nim być. On jeden tylko się na tym poznał.

Od tego czasu nikt ze stałych bywalców „Baru pod Satyrem” nie widział radcy. Opowiadano o nim różne. Niektórzy mówili, że po wyjściu wtedy z baru radca stanął w bramie i płakał jak dziecko. Inni mówili, że radca to nie radca lecz konysta z pobliskiej dystrykcji PSS. Dla stałych bywalców „Baru pod Satyrem” pozostał jednak radcą tak długo, jak długo pamięć ludzka przywiązuje wagę do faktów i zdarzeń.

Po kilku tygodniach nikt już w „Barze pod Satyrem” nie wspominał ani pana Stanisława, ani radcy. Nikt też się więcej nie ośmielał zakłócać harmonii pięknie wykaligrafowanego napisu „Klient nasz pan”.

do redaktora

Wiersz

Przy moim liście, prostującym niektóre informacje dotyczące grupy literackiej „Swantewit” zawarte w „Baedekerze poetyckim”, ukazała się wypowiedź Feliksa Fornalczyka — autora „Baedekera”. Jej treść zmusza, niestety, do kontynuowania tej przykrości dla mnie korespondencji. Spodziewać się należało, że sprowadzenie wyczerpać winno całą sprawę — pomyłki się przecież zdarzają.

Okazuje się jednak, że najprostszą rzeczą się komplikuje gdy podrażniony autor zamiast mieć pretensje do samego siebie — zgłasza je pod adresem innych. Tak jest i w przypadku Feliksa Fornalczyka. Nie można, niestety, chęcią „felietonowego wyostrzenia” usprawiedliwić minięcia się z prawdą, twierdząc że prozaik jest poetą a poeta prozaikiem, nie można w tekście stwierdzać braku pozycji książkowej jeżeli pozycja taka istnieje. Tym bardziej nie można, jeżeli błędne informacje służą wyciągnięciu ogólniejszych wniosków — jak to jest w „Baedekerze” — których wartość staje się wówczas co najmniej problematyczna. Należy tutaj chyba również wspomnieć, że już wcześniej służyły one Feliksowi Fornalczykowi jako materiał dyskusyjny na Wióźnie Poetyckiej w Bydgoszczy. Błędy te nie są istotne — twierdzi autor „Baedekera”. Niestety, czytając przewodnik dochodzi się do innych wniosków.

W liście celowo ograniczyłem się do spraw dotyczących jedynie grupy „Swantewit”, nie chcąc, aby został odczytany jako atak na autora „Baedekera poetyckiego”. Zauważyłem brak nazwiska Macieja Marii

Koziłowskiego — lecz nie wiem, czy poeta nadal go zajmuje. Można by mieć, i chyba słusznie, pretensje o pominięcie nazwiska poznańskich satyryków piszących wierszem, które winny się znaleźć obok osamotnionego Włodzimierza Scisłowskiego. Byłoby to celowe ze względu na rolę informującą, którą mają spełniać przewodniki.

Z przykrością jednak stwierdzam zanik rozumienia pewnych form, w przeciwnym bowiem wypadku nie mógłby pod moim adresem paść zarzut stronnictwa odczytania „Baedekera”. Doprawdy dziwna to stronnictwo oparta na bardzo jednoznacznym tekście.

Przy okazji Feliks Fornalczyk wyciągnął jeden niesłuszny wniosek oraz wysunął kilka pretensji mogących stanowić dalsze źródło dezinformacji czytelników.

Mogłem się zgodzić z twierdzeniem o braku sprecyzowanego programu grupy oraz o nie przywiązywaniu do tego zagadnienia zbyt wielkiej wagi; natomiast z wysunięciem ostatnio przez Feliksa Fornalczyka zarzutem braku jakiegokolwiek programu — już zgodzić się nie można. Istnieje jednak różnica między brakiem sprecyzowania a brakiem w sensie nieposiadania. Zresztą niektóre tezy programowe zostały informacyjnie opublikowane w roku 1957 — między innymi w „Głosie Wielkopolskim”. Grupa literacka „Swantewit” powstała również jako środowisko młodych twórców.

OD REDAKCJI:

Nie chcemy wnikać w szczegóły rozbieżności pomiędzy poetyckimi grupami „Wierzbaka” i „Swantewita”, bo skromna ilość miejsca stoi temu na przeszkodzie. Stanowisko autora „Baedekera poetyckiego” — Feliksa Fornalczyka nasi Czytelnicy poznali już we wcześniejszych pozycjach opublikowanych w „Głosie”. Na drugim z kolei liście W. Zegalskiego kończymy więc dyskusję, co wcale nie oznacza, że wszystko w tej dyskusji zostało powiedziane do końca i że nie warto by kiedyś powrócić do tematu na jakimś spotkaniu poetów i krytyków poezji.

Z poważaniem
WITOLD ZEGALSKI

Takie sobie rozważania

O ZWIERZĘTACH

Nasz stosunek do zwierząt przejawia się na ogół we wzajemnym utożsamianiu się z nimi do tego stopnia, że wyglądamy jak jedna wielka menażeria.

Już nie mówię, że na tak zwany styku uspołecznionej ekonomiki z jak najbardziej prywatną inicjatywą zdarzają się hieny, rekiny, płotki, a nawet koniki. Niemal w każdym środowisku zawodowym czy społecznym znajdzie się jakiś turkuc podjadek albo parę szczeniów, albo grube ryby, którym można w gabinecie okna otwierać, bo ryba nie orzeł, nie wyfrunie. O koledezie się mówi, że lis albo wesz, koleżanka to jaszczurka albo koczokodan, ktoś jest padalcem, sowa, inny ślimakiem albo słoniem w składzie porcelany, jeszcze inny pluskwą, ogierem albo glistą. A już każdy z takich obowiązkowych, co to ani kumoterstwa ani łapówki, to po prostu swinia.

Kiedy się na przykład muł czy wół dobierze z kurą domową, to się zachowują jak króliki, z czego powstają szczeniaki, z których wyrastają cielęta albo gawrony, nieraz trutnie czy zgoła osły i barany. Albo się to zaczyna od sikorek i gęsi, a potem taka gęś staje się kozą, potem kociakiem, następnie panią losiową czyli klempą — i, kończy się bodaj na kwoce.

A niech tylko koło takiego wołu zacznie się kręcić jakaś małpa, to zaraz wół staje się bykiem i lampartem, a małpa w oczach kury zmienia się w żmiję i wydrę. Jeżeli zaś odwrotnie, kura się zaparży na jakiegoś bażanta, to muł zostaje rogiaczem, oczywiście z rozpaczczą czyną pić jak wiperz, przez co robi się z niego bydlę, które udaje lwa. No i bije tę swoją kurę, bo teraz to już dla niego fladra czyli mała mewa.

Bezpodstawne porównania

Widać, że porównań zwierzęcych używamy prawie wyłącznie dla podkreślenia ujemnych cech człowieka. Nawet kiedy się o kimś mówi, że wierny jak pies, to więcej w tym politowania niż komplementu.

Nie ma się co wobec tego dziwić, że i w praktyce odnosimy się do naszych młodszych braci w rodzinie ożywionej materii mniej więcej tak czule jak Kain do Abła. Z tą tylko różnicą, że Kain ostatecznie miał jakieś uzasadnienie, uważał bowiem Abła za wazeliniera, który go rozrabiał przed Panem Bogiem, wskutek czego jak wiadomo ofiarny ogień Kaina nie mógł złapać tak zwanego cugu. My zaś zupełnie bez rozsądnej racji traktujemy zwierzęta w taki sposób, na jaki żadne inne zwierzę nie potrafiłoby się zdobyć.

Kiedy się zdarzy, że w upalny dzień dystrybucja napojów, jak to się

mówi, nawali, to murowane, że następny dzień będziemy czytali sążniste artykuły o ludzkich katuszach, że to skandal i te de. A tymczasem o wiele więcej zaniedbań zdarza się w długotrwałym nieraz przewozie bydła, świń i drobiu, kiedy w czasie upałów zwyczajnie się zapomina o dostarczeniu im wody.

Nasze okrucieństwa

Zwierzęta trzyma się u nas w brudzie, wilgoci, bez światła i świeżego powietrza, przewozi się je często stłoczone, powiązane, przygniecione innymi zwierzętami lub towarami, a podczas przeładunku rzuca się nimi o ziemię lub bije. Są tacy hodowcy, którzy podskubują żywe gęsi i kaczki, obrywają kromy, pypeć z języka, nierogaciznie zawiązują ryje drutem. Inni oprawiają ryby żywcem, jeszcze inni chwytają ptaki i czworonogi w sidła, wnyki, żelaza i inne narzędzia tortur. Są też i tacy z przeproszeniem miłośnicy zwierząt, którzy własnemu ulubionemu psu każą biegać za sobą, co byłoby całkiem zdrową rozrywką, gdyby nie to, że taki pan jedzie rowerem czy motocyklem albo tramwajem, a pies drałuje za nim piechotą. Inni znów, nieraz w towarzystwie własnego potomstwa, z wiatrówką polują na ptaszki i wiewiórki, a w braku czegoś lepszego, na koty i cudze kury. A co się dzieje z kołmi, jak się je bije, i czym i gdzie się bije. A potem się dziwny, że w Polsce średni wiek konia jest o cztery lata krótszy niż wśród nacji, które się

wcale nie chelpia, że są narodem kawalerzystów i zamiłowanych koniarzy.

No tak... Ale przy tym wszystkim spróbujcie komu powiedzieć, że jest gorszy od zwierzęcia. A przecież ani hiena nie jest taką świnią, ani świnia takim bydlakiem, ani bydlę takim szakalem, jakim często potrafi być człowiek. I dzieją się te rzeczy w kraju, w którym prawie od stu lat istnieje i działa Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami, a od przeszło trzydziestu obowiązuje prawo o ochronie zwierząt.

One uszlachetniają człowieka

Nie bądźmy jednak pesymistami. Jest pocieszające, że mimo liczebnej przewagi okrutników, nie wiadomo co bardziej: złych czy głupich, jest już sporo, i coraz więcej prawdziwych przyjaciół zwierząt. Nie tylko w Towarzystwie Opieki, nie tylko wśród myśliwych i wędkarzy, ale i wśród młodego pokolenia. To właśnie dzieci do schronisk dla zwierząt doprowadzają najwięcej pacjentów wymagających pomocy i opieki, i najwięcej stamtąd zabierają opuszczonych psiaków, aby im dać miejsce nie tylko przy domowym ognisku, ale i w sercu.

Nazywa się, że człowiek uszlachetnia zwierzę — przez racjonalną hodowlę, skrzyżowania, selekcję i tak dalej. Ale właściwie to zwierzę uszlachetnia człowieka, i to o wiele prostszą metodą — przyjaźnią. Ta przyjaźń — można powiedzieć — jest hymnem do człowieczeństwa, śpiewanym człowiekowi za łagodne słowo, odrobinę strawy, za pieczęć ludzkiej ręki.

Nawet jeżeli się ten hymn śpiewa szczekaniem, to tym się ono różni od ludzkiego, że jest zawsze szczere.

BETA

Eugeniusz Paukszta

Bibliofilom

Z ostatnio wydanych publikacji na trzy najważniejszymi zwrócić uwagę czytelnika. I tak wydarzeniem stało się opublikowanie przez „Czytelnika” wybranego przez Jana Dąbrowskiego zbioru reportaży z lat międzywojennych. Wstęp Zbigniewa Mitznera ułatwia odbiór reportaży nieznającym już z własnych wspomnień opisywanych wydarzeń przedstawicieli młodego pokolenia. „Polskie drogi” (bardzo trafny tytuł) piórami kilkunastu autorów, wśród których spotkamy najwybitniejszych nazwiska, ukazują szeroki wachlarz spraw i zjawisk Polski dwudziestolecia.

„Wydawnictwo Poznańskie” konsekwentnie realizuje edycję studiów i materiałów do dziejów miasta Kalisza i regionu kaliskiego. Oto ukaże się tom trzeci, w znakomitej większości poświęcony zagadnieniom związanym z w. XVIII i XIX, aż po kaliskie lata rewolucji 1905—1907. „Osiemnaście wieków Kalisza”, to kto wie, czy nie prawdziwie ukoronowanie obchodów tyluż stuleci istnienia miasta. Trudno byłoby wymienić poszczególne autorów i omawiane przez nich zagadnienia. Jedno pewne, że czytelnik obraz Kalisza i regionu w rozwoju dziejowym odbiera przejrzyście i bardzo panoramicznie.

W „Ossolineum” natomiast opublikowane zostało wyczerpujące i sumienne studium Tadeusza Gospodarka „Julia Mołńska - Woykowska”, pierwsza równie źródłowa praca o tej „pierwszej emancypantce polskiej”, rogatej duszy, będącej natchnieniem garstki demokratów poznańskich I pół. XIX wie-

ku, ale zniechęconej niemniej serdecznie przez obóz konserwatywny i władze pruskie. Życie Woykowskiej to zarazem i dzieje „Tygodnika Literackiego” pisma, którego wpływ nie tylko na Poznańskie, ale i na inne regiony kraju był bardzo znaczny. Gospodarek, w oparciu o źródła, omawia szeroko zarówno okres racjonalizmu w działalności autorki „Piosnek dla ludu wiejskiego”, jak i późniejszego przejścia na pozycję mistycyzmu, aż po tragiczną śmierć. Fraca ta dla znajomości dziejów kultury Poznańskiego ma wielkie znaczenie.

Nakładem coraz bardziej ruchliwego „Pojezierza” w Olsztynie opublikowano w przesłanym szacie graficznej nowy tomik poetycki Klemensa Oleksika, przez długie lata blisko związanego z Poznaniem. „Drzewo życia”, światła delecto rozwoju poety, mieści w sobie utwory z ostatnich lat, ujmujące bezpośredniością i prawdą przeżycia.

W „Iskrach” ukazała się książka, którą powinna czytać przede wszystkim młodzież, spośród niej zaś młodzi adepci zawodu nauczycielskiego. Myślę o wspomnianych nauczyciela, Kazimierza Elwertowskiego pt. „Szkoła i życie”, podanych z pasją i niesłabnącym zaangażowaniem, z ogromnym umiłowaniem zawodu. Elwertowski przeżył 83 lata, w czym znakomita większość wiąże się z pracą nauczycielską. Można sobie wyobrazić, co za bogactwo obrazów, przemian, jaka podświadoma choćby analiza przeobrażeń i dróg szkolnictwa polskiego. Rzecz przy tym pisana w ten sposób, że czyta się ją jak powieść. W Wydawnictwie „Ślask” dla odmiany Roman Z. Hrabar ogłosił nową swą pracę pt. „Jakim prawem”, pełne dramatyzmu dzieje powojennych poszukiwań dzieci polskich zrabowanych przez hitlerowców. „Jakim prawem”, dokument, świadectwo jednego z największych przestępstw wstrząsa i każe od nowa niejedno przemysleć.

W związku z prośbami zapalonych zbieraczy tomików serii wydawniczych na gorąco informuję o najnowszych pozycjach z tego zakresu. W Czytelnikowskiej serii „Z Nike” otrzymaliśmy Pio Baroję „Parada z królem”, zawierający dwie opowieści świetnego pisarza hiszpańskiego XIX wieku. W serii z Jednoróżcem PIW wydał Apulejusza „Amor i Psyche”; lektura, do której smakoszy nie trzeba zachęcać. I wreszcie „Nasza Księgarnia” w serii „Klubu siedmiu przygód” wydała opowieść Mary Patchett pt. „Skarby rafa koralowej”.

Autor uderzył we właściwy klawisz. Jego wołania o tolerancję również dla niewierzących dają dużo do myślenia.

Podróż po Polsce

Władysław Bieńkowski publikuje na łamach Przeglądu Kulturalnego dalszy ciąg swej refleksyjnej Podróży po Polsce. Tym razem refleksje dotyczą architektury.

„Charakter budownictwa wiejskiego każe biec na alarm — buduje się (jeśli się już buduje) gdziekolwiek, bez żadnej myśli kształtującej wiejski organizm, buduje się w sposób jałowy w głowie. Małuczką, a trzeba będzie wsie płotami zasłaniać przed oczyma turystów. I tu wielkie pytanie pod adresem naszych architektów, pod adresem instytucji, które nasze ludowe państwo powołało, aby strzegły jakiegos kształtu i sensu w budownictwie — coście zrobili w tej dziedzinie? Coście zrobili, aby pomóc wsi, aby wpłynąć na produkcję materiałów zgodną z potrzebami, aby wypracować nowy kształt wiejskiej chałupy, wiejskiej zagrody? Nowy kształt wsi? Niestety, nic nie zrobiliście! Nawet nie zauważyliście, że ktoś tam z planów produkcyjnych skreślił dachówki, otwierając tym nową erę w wiejskiej architekturze — neostomianizm i papizm!”

Tysiące spraw do załatwienia odrywają — zdaniem Bieńkowskiego — polskiego rolnika od produkcji i na pewno nie wpływają dodatnio na jej zwiększenie. Planowa zabudowa wsi służy w ostateczności także postępowi: usłojowemu, społecznemu, technicznemu i produkcyjnemu. Omawiany raport warto polecić wszystkim a w szczególności — ludziom odpowiedzialnym za rozwój wsi...

LEKTOR

Wydany niedawno „Głos Cukiernika”, odbił się szerokim echem w kręgach cukierników, lukerników. I tak, ob. Lukier napisał mi lukrowaty list, w którym zapewnia mnie: „Jest pan przemądrłym człowiekiem, ma pan wspaniałe pióro i rzeczywisty talent”. — Wy powiedz ta jest bardzo cenna i stanowi podwójną zachętę: a) dla kronikarzy literatury, b) dla mnie — do dalszych prac. Dziś więc

Pogrzebowca

Pod redakcją
Janusza Przybysza

Z miasta

Mieszkańcy miasta z zadowoleniem przyjęli wiadomość o otwarciu nowego, przestronnego cmentarza. Cmen-

tarz położony jest malowniczo, ziemia tu piaszczysta i sucha, mniósłwo zacisznych i przytulnych kącików. Dyrektorem cmentarza został obywatel magister inżynier Olgierd Smuiny.

Nowy cmentarz stanie się zapewne ulubionym miejscem spoczynku miejscowego społeczeństwa.

Radosny jubileusz

Radosny jubileusz chowania 10-tyśięcznego niebosz-

czyka obchodził ob. Wieko. W ciągu wielu lat owocnej działalności odprowadził on między innymi 2 generałów, 1 admirała i 8.000 żonaty.

Wśród kwiatów, jakie jubiłat otrzymał w dniu swej uroczystości uwagę zwracał okazały wieniec od zarządu cmentarza. Na szarfach wypisano między innymi: „Ob. Wieko — zarząd” i „Niech żyje nasz 10-o tyśięcznik!”

Kącik towarzyski

Na jesienną nudę, na długie jesienne dni, polecamy wszystkim zabawę w chowaniego.

Matrymonialne

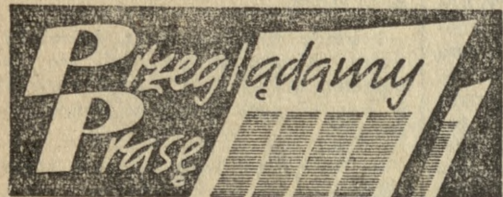
Pogrzebowiec, lat 80, z mieszkaniem służbowym na cmentarzu, z rentą i wykupioną działką, poszukuje towarzyski na nową drogę życia. Wdowy mile widziane.

Co tam w spółdzielczości?

Powstała tu nowa spółdzielnia. Asortyment produkcyjny spółdzielni jest oczywiście urozmaicony i obejmuje takie wyroby jak: woda, sodowa, lemoniada, piwo, czapki, trumny.

Plan wykonany

Spółdzielnia Pracy Usług Pogrzebowych wykonała przedterminowo plan kwartalny i to w 103,2 proc. W związku z tym, zarząd spółdzielni przesłał specjalne podziękowania kooperantom, a zwłaszcza Okręgowemu Związkowi Motoryzacyjnemu.



25 rocznica strajku ZNP

GŁOS NAUCZYCIELSKI publikuje artykuł wstępny pt. 30 września 1937 roku, poświęcony 25 rocznicy strajku okupacyjnego pracowników Związku Nauczycielstwa Polskiego w Warszawie. Powodem strajku było rozporządzenie rządu, mocą którego zawieszono Zarząd ZNP, którego miejsce zajął kurator rządowy.

„Tego samego dnia wszyscy członkowie ówczesnego Zarządu Głównego ZNP jednogłośnie podjęli decyzję prowadzenia walki o niezależność ruchu zawodowego, postanowili wezwać nauczycieli — związkowców do poparcia tej decyzji oraz podali do wiadomości deklarację...”

W deklaracji m. in. czytamy:

„Wymowa tej decyzji jest aż nadto wyraźna. W obywatelskiej służbie państwa, społeczeństwa i grupy nauczycielskiej byliśmy ostoją demokracji, wolności i walczymy o sprawiedliwość społeczną, budowaliśmy cegła po cegle gmach naszego do robku zawodowego. (...) Jako członkowie Zarządu Głównego Związku Nauczycielstwa Polskiego, ulegając decyzji władz, przerywamy nasze urzędowanie, jednak moralnie czujemy się nadal kierownikami gromady nauczycielskiej, z której rąk otrzymaliśmy mandaty i nie rezygnujemy ani na chwilę z tego programu ideowego, reprezentowanego przez nas organizację, o której rezygnujemy nie

walczyliśmy zgodnie z tradycjami naszej pracy za wodowej”.

Głos Nauczycielski zapowiada, że w następnych numerach napisze o przebiegu i zakończeniu tej 4-miesięcznej walki.

Nie ma już sędziów w Berlinie

Taki tytuł nosi artykuł Bogusława Koguta opublikowany w NOWEJ KULTURZE, a poświęcony 25 rocznicy śmierci Drzymały. Autor pisze w swym artykule, że istnieje powiedzenie:

„Drzymała na cygańskim wozie wwiózł Wielkopolskę na scenę Europy.”

Ale zdaniem B. Koguta zbyt często wjeżdżał na widownię w sposób osobliwy: czy to w cygańskim wozie, czy też przez wawóz Somosierzy, czy wreszcie w kawalerskiej szarży na czołgi.

„Ludowy bohater z Podkrakowa, nie był bohaterem wyjątkowym. Tysiące Jemu podobnych nie tylko w Wielkopolsce, ale na Śląsku, Pomorzu, Kaszubach mieszkano w ziemiankach i wozach, w szopach i kurnikach, byle nie dać wyrugować się z ziemi”.

I dalej:

„Drzymalszczyzna, symbol patriotyzmu ludowego, nie tyle szaleńczego, ile rozumnego, nie tyle efektownego, co skutecznego — nie weszła w naszą zbiorową świadomość, w pamięć, w potoczne myślenie (...) A szkoda. Tym bardziej, że nie ma już bajecznych „sędziów w Berlinie”, a w zachodniej części tego miasta mit świętego prawa został zastąpiony mitem doznanej rzekomo krzywdy oraz gwałtownym pogotowiem, zaś trochę dalej na zachód, w Bonn, testament Bismarcka nabiera nowej aktualności”.

Rocznica Drzymały, to wcale nie jeszcze jeden uroczysty obchód, z postacią tą bowiem związane

są najpiękniejsze tradycje walki o polskość, która dopiero teraz odniosła pełen triumf.

Tolerancji dla niewierzących!

POLITYKA, jak zawsze zresztą, zawiera sporo interesujących pozycji. Ze względu na brak miejsca wymienimy tylko dwie, każdą z innych powodów.

Pierwszą z nich jest artykuł Przemysława Bystrzyckiego pt. Kapituła znaku celera, którego nie ma polrzeby omawiać, gdyż nasi Czytelnicy mieli okazję poznać go w Głosie Tygodnia już 17 czerwca br.

Drugą pozycją jest artykuł Szymona Kobylńskiego pt. Pomóżmy Kowalskiemu! Jest to interesująca napisana rozprawka o samotności Kowalskiego i ateizm dla mas. Kobylński na marginesie swych rozważań stwierdza, że obok wierzących — praktykujących i wierzących — niepraktykujących powstała specjalna warstwa niewierzących — praktykujących.

„Jesteśmy więc niewierzący (...) Ale naciska nas środowisko, własne dziecko pyta, kiedy wreszcie, jak Zenek lub Kazia, pójdzie do komunii, inaczej będzie się czuło zdyskryminowane w płaskownicy... Skoro wszyscy w kamienicy sąsiadzi tak wagi przywiązują do tych spraw, bez których właściwie nie szukanowano by nasze pociechy, nie robimy z siebie czarnych owiec. Stuchając takich wywodów (...) nie umiem uwolnić się od pewnych podejrzeń. Otóż podejrzewam mocno, iż w tej samej kamienicy, presję wywierającej, znalazłoby się więcej osób nie pragnących koniecznie zakrywać swoich nauk dla rodzonych dzieł, ale (...) przekonanych o swej izolacji”.